

Rozdział 5

Pożeracz

Długa, smolista macka minęła o włos jednego z strażników. Udało im się odwrócić na chwilę uwagę stwora od uwięzionej Pinkie. W czasie, gdy trzech żołnierzy toczyło nierówną walkę opartą głównie na unikach, Guard podbiegł niezauważony do różowej klaczy. Próbował przeciąć substancję trzymającą kucyka za pomocą maczety, ale obrzydliwość stawiała opór. Po chwili męczarni i towarzyszącej jej wiązance cichych przekleństw, Guardowi udało się w końcu odciąć ohydłą mackę. Odlączona od potwora część ciała zmieniła swoją strukturę w ciecz, rozlewając się na podłożu i uwalniając Pinkie z uścisku. Imprezowa klacz puściła się galopem do reszty przyjaciółek, w tempie bijącym na głowę wszelkie rekordy prędkości.

Gwardziści otoczyli niekształtną istotę. Gdy ta odwracała się z zamiarem zaatakowania któregoś z strażników, żołnierz po przeciwnej stronie dźgał ją włócznią, powodując że istota kierowała swoje cielsko w jego stronę. Taka strategia nie mogła jednak zapewnić im zwycięstwa. Opancerzone pegazy powoli się męczyły i traciły refleks, za to smolisty stwór najwyraźniej nie odczuwał ani bólu, ani zmęczenia.

– Guard! – krzyknęła niespodziewanie Twilight. – Zwab go nad jedną ze szczelin!

– Po co? Przecież jest zbyt duży, żeby go do niej wrzucić! – wrzasnął przez ramię gwardzista, po czym ponownie skupił się na walce.

– Zaufaj mi! – pewność pobrzmiwająca w głosie lawendowej klaczy przekonała Guarda. Wydał szybkie rozkazy. Strażnicy kontynuowali swoją strategię, ale za każdym razem kiedy potwór się obracał, robili kilka kroków w stronę najbliższej dziury w podłożu. Byli już na skraju wyczerpania, gdy ich zamiar się w końcu powiódł.

Bestia wydawała się być w ogóle nieporuszona ich staraniami. Wreszcie jeden ze strażników potknął się podczas wykonywania uniku. Potwór spał się w sobie, szykując atak na bezbronnego wroga. Wtedy coś ze świstem przeszło powietrze.

– Padnij! – rozkaz Twilight odbił się szerokim echem w okolicy. Wyszukoleni strażnicy wykonali polecenie bez chwili zastanowienia.

Guard podniósł wzrok z ziemi i zdołał jeszcze dostrzec jak ognisty pocisk uderza wprost w smolistego stwora. Nastąpiła mała eksplozja, od której gwardziście zadzwoniły zęby i ulatniający się ze szczeliny gaz natychmiast stanął w płomieniach, przypiekając stojącego w nim potwora. Substancja, z której składało się ciało bestii zaczynała się kurczyć w sobie, przybierając szarą barwę. Przeciwnik próbował jeszcze wyjść spoza otaczającego go żaru, ale był na to zbyt niezdarny. Zdołał jedynie przewrócić się, dogorywając w ogniu.

– Całkiem niezły strzał – rzucił Guard w stronę zbliżającej się wraz z przyjaciółkami Twilight.
– Skąd wiedziałas, że ten gaz jest łatwopalny?

– Poczułam zapach siarki, kiedy przechodziliśmy obok jednej ze szczelin – Twilight wzruszyła ramionami. – Cieszę się, że i was nie trafiłam.

– Też jestem z tego powodu zadowolony, los skwarka to nie najlepsza śmierć dla żołnierza – odparł Guard z grymasem. Rozejrzał się szacując straty. Żaden z strażników nie poniósł poważniejszych ran, wszystkie pięć klaczy i ten niski, głupkowaty ogier, uniknęli szczęśliwie potyczki, choć ta tęczowa chyba rwała się do boju... chwila, pięć klaczy?! Gwardzista rozejrzał się dokładnie, ale żółty pegaz najwyraźniej zniknął. – Co się stało z tą strachliwą? Tylko mi nie mówcie, że coś ją pożarło, podczas gdy my walczyliśmy.

Przyjaciółki rozejrzały się ze zgrozą. Guard miał rację, Fluttershy wyparowała.

– Jak mogliśmy nie dostrzec tego wcześniej? – zapytała zrozpaczona Rarity. – Powinniśmy natychmiast zacząć poszukiwania!

– Zgadzam się. Musimy tylko pamiętać, by unikać tych wstrętnych smolistych stawów. – dodała Applejack.

– A jak ona właśnie wpaść do jedna z takich? – zaniepokoił się Ortik.

– Wątpię. Przed atakiem staliśmy w tej okolicy, a najbliższe jeziorko oprócz tego, które nas zaatakowało, jest jak widzicie, w całkiem sporym oddaleniu – powiedziała Twilight.

– To wszystko moja wina, gdybym tylko była ostrożniejsza, to Fluttershy nic by nie groziło! – wybuchnęła płaczem Pinkie. Atak smolistego stwora i strach o życie przyjaciółki strasznie podkopały jej zwykle optymistyczny nastrój. Applejack wsparła na niej kopytko, usiłując dodać jej otuchy.

– Tu nie ma żadnego winnego. Po prostu podróżujemy przez bardzo niebezpieczną okolicę, a coś takiego mogło się zdarzyć każdemu – farmerka uśmiechnęła z trudem do różowego kucyka. – Poza tym, znajdziemy Fluttershy, przecież nie mogła zapaść się pod ziemię!

– Tak właściwie... – wtrąciła się Twilight, stojąc na krawędzi jednej z szczelin. – Podejrzewam, że właśnie to się stało.

– Wpadła do tej okropnej dziury? – domyśliła się Rarity. – Jesteś pewna?

– Stałyśmy gdzieś tutaj podczas ataku. Fluttershy pewnie przeraziła się tej bestii i zaczęła ostrożnie się wycofywać. Jeśli nie patrzyła za siebie, to spadła zanim zdążyła wyczuć niebezpieczeństwo.

– Czyli któraś z nas powinna zejść na dół i wyciągnąć ją stamtąd? – zapytała Rainbow. – Kaszka z mleczkiem, zaraz będę z powrotem.

Twilight zawahała się na moment, po czym pokiwała głową.

– Tylko uważaj na siebie.

Rainbow rozprostowała skrzydła i wleciała do szczeliny. Przyjaciółki z napięciem patrzyły na to miejsce. Po upływie kilku minut uznały jednak, że ich gapienie się w niczym pomoże Fluttershy, a jest jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia. Na straży dziury pozostała jedynie Rarity. Applejack starała się pocieszyć wciąż przygnębioną Pinkie. Twilight klóciła się z Guardem o wybór trasy, próbując skłonić go do dłuższej podróży przez bezpieczniejsze góry. Najwyraźniej bezskutecznie. Ortik wyjął z juków kawałek drewna i zaczął rzeźbić w nim za pomocą noża.

Gdy wszyscy zaczęli się już porządnie zaniepokoić, Rainbow w końcu wyleciała z podziemi. Sama, za to z ponurym wyrazem na pyszczka.

– Znalazłaś jakiś trop? – zdołała zapytać Rarity przez ściśnięte gardło.

– Twilight miała rację – pegaz zwrócił się w stronę lawendowej klaczy. – Fluttershy musiała wpaść do tej szczeliny, spójrzcie co znalazłam – zaprezentowała przed resztą żółte pióro. – Jest jednak

pewien problem... tam na dole widziałam coś w rodzaju korytarza, który rozdziela się we wszystkie strony. Próbowałam szukać Fluttershy, ale ciągle natykałam się na zakręty, a zgubienie drogi powrotnej nie wydawało mi się zbyt mądre.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, że wróciłaś do nas. Gdybyś i ty zablądziła, to sytuacja byłaby krytyczna – pochwaliła ją Twilight. – Może za pomocą magii uda mi się ją znaleźć. Pomogłabyś mi zejść na dół, a potem...

– Nie! – przerwał jej Guard. – Żadnego rozdzielania się! Idziemy tam wszyscy albo wcale.

– Czy to napewno dobry pomysł? Tam może być niebezpiecznie – próbowała oponować Twilight.

– On ma rację, sama mówiłaś, że powinniśmy trzymać się razem – przypomniała Rainbow.

– No i nigdy nie zostawiłabym przyjaciółki w potrzebie – dodała Rarity.

– Dobrze, pójdziemy wszyscy – zgodziła się bibliotekarka, niezadowolona z obrócenia własnych słów przeciw niej. – Zastanawiam się tylko co z Pinkie. Ktoś chyba musi udzielić jej wsparcia, bo kiepsko to teraz wygląda – szepnęła Twilight, wskazując na odwróconą do nich plecami klacz.

– Spokojna głowa, zajmę się nią i raz-dwa uśmiech powróci na jej pyszczek – obiecała Applejack.

– Rozpocznijmy więc poszukiwania. Panie przodem! – rzucił ironicznie Guard, chwytając Twilight i zlatując z nią wgląb szczeliny.

Jedynym światłem w jaskini była niezdrowa poświata, jaką emanowały otaczające samotną klacz skały. Fluttershy powolutku zmierzała przed siebie, rzucając co chwila przerażone spojrzenia na boki. Korytarz przed nią zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale ona wciąż kontynuowała wędrówkę. Co lepszego mogła zrobić? Gdy tylko próbowała się zatrzymać, ogarniało ją dojmujące uczucie beznadziejności, a tak przynajmniej miała jakiś cel.

Przecież obiecywała sobie, że będzie dzielna, a tymczasem co zrobiła? Przez własną nieostrożność wpadła do jakiejś okropnej jaskini. Ale nie to okazało się najgorsze. Powinna była spróbować wyjść, albo poczekać na pomoc przyjaciółek. Stało się jednak inaczej. Podnosząc się z ziemi po upadku, natrafiła kopytkiem na jakiś gładki przedmiot. Podniosła go na wysokość oczu i natychmiast upuściła ze strachem. To była czaszka kucyka, która wyglądała jakby ktoś wyszlifował ją do połysku. We Fluttershy pękły wszelkie bariery. Pobiegła na oślep przed siebie, byle dalej od tego miejsca. Sporo czasu zajęły jej próby ochłonięcia i uspokajanie łomoczącego serca. Po krótkim zastanowieniu postanowiła wrócić z powrotem do wylotu szczeliny przez którą wpadła. Przecież musiała wydostać się na powierzchnię i żadne straszne k-kości jej w tym nie przeszkodzą!

Po przebyciu kilkudziesięciu kroków, Fluttershy z rozpaczą zdała sobie sprawę, że musiała zablądzić. Jak przez mgłę pamiętała liczne rozwidlenia i zakręty jakie pokonała. Nie potrafiła jednak odtworzyć dokładnej trasy, szczegóły rozmywały jej się w głowie. Postanowiła iść “na żywioł”, bardziej zgubić już się nie mogła, a perspektywa czekania w niemal kompletnych ciemnościach na pomoc, która mogła nigdy nie nadejść była zbyt odpychająca.

Robiła więc krok za krokiem, maszerując ku nieznanemu. Korytarz wokół wciąż był taki sam. Monotonia zaczęła powoli wypierać strach klaczy, Fluttershy czuła się coraz bardziej zmęczona.

Przypomniła sobie, że przez cały dzień maszerowała wraz z pozostałymi, a potem jeszcze ten szaleńczy galop w mroku jaskini... Oczy pegaza zamykały się ze zmęczenia, ale ona wciąż parla dzielnie naprzód. Nawet strach o przyjaciół, dotychczas wypełniający myśli Fluttershy, teraz osłabł.

Ostatnim co zapamiętała, było zadowolenie, że nie zgubiła bagaży. Były takie miękkie...

– Brr, nieprzyjemnie tutaj – mruknęła Rarity, po zniesieniu jej na dno szczeliny.

– A czego się spodziewałaś? Wesołej łąki pełnej kwiatów? – zakpiła Rainbow.

– Nie, ale ktoś mógłby tu od czasu do czasu posprzątać. Strasznie dużo tu... blee, czy to są kości!? – obrzydziła się biała klacz, odskakując jak najdalej od tego miejsca.

– Szkielet kucyka – ocenił fachowym okiem Guard. – Leży tu od jakichś kilku lat... To ciekawe.

– Co może być ciekawego w tak okropnym widoku? – zdziwiła się Rarity, odwracając wzrok od kościotrupa.

– Wszędzie wokół jest lita skała, nigdzie też nie widziałem śladu żadnego robactwa, prawdopodobnie nawet ono unika tej okolicy – gwardzista uśmiechnął się pod morderczym spojrzeniem Twilight. – A jednak, te kości są pozbawione jakiegokolwiek mięsa, jakby coś starannie je z niego oczyściło...

– Och, niech pan przestanie, nie wypada mówić takich okropnych rzeczy przy damach – oburzył się biały jednorożec.

W czasie gdy jego towarzysze prowadzili tę niezbyt ważną rozmowę, Ortik rozejrzał się po jaskini. Jego wzrok był dużo lepszy niż klaczy, czy strażników, dlatego udało mu się dostrzec liczne odnogi, rozwidlające tunel. Na szczęście wzrok nie był jedynym zmysłem, na którym mógł całkowicie polegać.

– Wielka Szaman Twajlajt! – odezwał się, nieśmiało zerkając w stronę bibliotekarki.

– Nie teraz Ortiku, muszę wymyślić jakiś sposób na znalezienie Fluttershy – powiedziała skoncentrowana Twilight.

– Po co sposób, skoro Ortik złapać trop? – zapytał zdziwiony ogier.

– Że jak? – zdziwiła się Applejack, która przypadkowo usłyszała rozmowę. – Jesteś kucykiem, czy psem tropiącym?

– Ortik być myśliwiec, od lat polować na dzika zwierzyną. Być też zwiadowcą i szpiegiem – odpowiedział z wyrzutem, jakby farmerka go czymś obraziła. – Widzieć dobrze w cień, słyszeć ciche odgłosy, wyczuwać delikatny woń.

– Udało ci się wyczuć zapach Fluttershy? – upewniła się Twilight. Musiała przyznać, że drobny ogier nawet jej zaimponował. Ona nie potrafiłaby rozróżnić zapachu przyjaciółki, nawet gdyby ta stała zaraz obok.

Ortik tylko pokiwał głową, po czym zaczął posuwać się naprzód z nosem blisko podłóża. Applejack zawołała resztę, przekazując im dobrą nowinę. Już po chwili wszyscy podążali wгłęb tuneli za Ortikiem, jako przewodnikiem. Jednorożce zapaliły swoje rogi, by rozproszyć wszechobecny mrok.

Przy pierwszym zakręcie Twilight zatrzymała się, by wyciąć w skale symbol koła. Guard tylko chrząknął aprobująco, ale Rainbow zaciekało zachowanie przyjaciółki.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała, podchodząc bliżej lawendowej klaczy.

– Oznakowujemy korytarze, byśmy mogli bez problemu odnaleźć drogę powrotną – odpowiedziała Twilight.

– Sprytne – stwierdziła z uznaniem Rainbow. Po chwili milczenia dodała znacznie ciszej. – Myślisz że z Fluttershy wszystko w porządku?

W jej głosie pobrzmiwała nutka strachu, więc Twilight postanowiła ją nieco uspokoić, choć sama także miała poważne obawy o los pegaza.

– Ona wydaje się słaba, ale gdy sytuacja naprawdę tego wymaga, to potrafi być silniejsza od większości z nas. Pamiętasz, jak udało jej się nakłonić smoka do opuszczenia góry w pobliżu Ponyville?

Rainbow potaknęła, chyba niespecjalnie pocieszona, ale nie drążyła już dalej tematu.

Wędrówka korytarzami ciągnęła się niemiłosiernie, na szczęście Ortik zdawał się być przekonany co do kierunku, w którym zmierzali. Niepewność zaciskała swoje szpony na sercach towarzyszy. Dalej nie napotkali na żaden ślad obecności Fluttershy. Applejack korzystając ze sposobności odbywała długą rozmowę z Pinkie, próbując ją za wszelką cenę pocieszyć. Wydawało się, że powoli zaczynała jej się to udawać.

Niespodziewanie skały wokół nich się zatrzęsły, posyłając większość podróżników na podłóże. Drgania trwały jeszcze dobrą chwilę, po czym wszystko się uspokoiło. Tunel rozjarzył się dziwną czerwienią, zdawał się też lekko falować, wywołując bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Co do setki zardzewiałych wideł właśnie się wydarzyło? – zapytała zdumiona Applejack, podnosząc się na równe kopytka.

– Nie jestem pewna... – Twilight zawahała się na moment. – W okolicy nie ma żadnych wulkanów, więc nagła erupcja odpada. Pozostaje jeszcze kwestia wstrząsów sejsmicznych, wywołanych ruchem płyt litosfery... trzęsienie ziemi – westchnęła, widząc niezrozumienie malujące się na pyszczkach towarzyszy – Ale na to są bardzo małe szanse w tym rejonie.

– Cokolwiek by to nie było, już się uspokoiło – odparł z niezmaconym spokojem Guard. – Bardziej martwi mnie, czemu ten parszywy tunel nagle się rozjarzył.

– Już wcześniej zastanawiałam się nad strukturą tych skał – odparła Twilight. – Wydają się być inne od wszystkich widzianych przeze mnie do tej pory. Nawet w wielkim muzeum w Canterlot, przy wystawie poświęconej minerałom takich nie było. Możliwe, że reagują w jakiś sposób na wstrząsy, choć wydaje mi się to dość nieprawdopodobne. Słyszałam kiedyś o pewnym gatunku jaskiniowych roślin, które w podobny sposób...

– Wystarczy, zrozumieliśmy – przerwał jej Guard, wywracając oczami. – Powinniśmy iść dalej, chyba chcecie odnaleźć przyjaciółeczkę?

– Racja, chodźmy już – ponagliła ich Rainbow, po czym rozejrzała się zaniepokojona. – Zaraz, a gdzie jest Pinkie? Tylko nie mówcie, że znowu...

– Spokojna głowa, poprosiłam ją, żeby potowarzyszyła przez chwilę Ortikowi. To śmieszny ogier, powinien mieć dobry wpływ na jej nastrój – stwierdziła Applejack.

– Maniery ma nieco barbarzyńskie, ale zgadzam się z tobą – wtrąciła się Rarity. – Stanowi teraz idealne towarzystwo dla naszej biednej przyjaciółki.

Pinkie wraz z Ortikiem maszerowali swobodnie na czele pochodu. Drobną kucyk cały czas podążał za tropem, nie przeszkadzało mu to jednak zabawiać różowej klaczy swoimi historyjkami. Pinkie zdążyła już niemal całkowicie odzyskać dawny humor, a wybuchy śmiechu regularnie docierały do zmierzających w pewnym odstępie za nimi reszty członków drużyny. Poprawa nastroju Pinkie podniosła nieco morale towarzyszy. O wiele przyjemniej podróżowało się przez mroczne tunele, jeśli były wypełnione chichotem.

Po przebyciu kolejnego zakrętu, Ortik klasnął radośnie w kopytka i krzyknął z całych sił.

– Znaleźć Flaterzaj!

Wtedy wydarzyło się kilka rzeczy.

Fluttershy zaczęła biec w ich stronę z wyraźną ulgą rysując się na pyszczku. Szczęście malujące na jej obliczu momentalnie przerodziło się w zgrozę, gdy tunel ponownie zaczął się trząść. Ortik i Pinkie zdążyli dotrzeć do żółtego pegaza, zanim siła wstrząsów ich powaliła. Reszta towarzyszy także wylądowała na podłożu, boleśnie się objając. Ku ich przerażeniu jedna ze ścian zmieniła położenie, odcinając ich od wysuniętej naprzód trójki.

– Co do... – zdołał jedynie wystękać Guard, podczas gdy korytarz za ich plecami przybierał kształt pochylni. Po chwili kucyki zaczęły sunąć z wielką prędkością na dół, niczym w jakiejś okropnej parodii zjeżdżalni. Spad stawał się coraz bardziej stromy, zdawało się, że za chwilę z całą siłą uderzą o ziemię, pozostawiając po sobie jedynie mokre plamy. Wtedy na końcu ich trasy ukazała się ciemna dziura. Niemal kilka sekund później wszyscy do niej wpadli, ginąc w nieprzeniknionym mroku.

– Fluttershy, tak się o ciebie martwiłam! – żółty pegaz poczuł, jak Pinkie miażdży mu żebra. Ortik tylko spojrzał na nich z lekkim uśmiechem. Potem jednak zbadał ścianę blokującą im drogę do reszty towarzyszy i pokręcił głową ze smutkiem.

– Solidna skała, nie uda przebić – mruknął. Pinkie zdążyła już puścić przyjaciółkę, która wydawała się wciąż oszołomiona nagłym spotkaniem.

– Czy wy... naprawdę tu jesteście? – zapytała z nadzieją. – To wszystko mi się nie śni?

– Oczywiście że nie, głuptasie! – zaśmiała się różowa klacz. – Ruszyliśmy na poszukiwania, gdy tylko zauważyliśmy twoją nieobecność. Na szczęście Ortik potrafił cię wytropić za pomocą węchu. Słowo daję, on jest nawet lepszy od Winony!

– Naprawdę? W takim razie... dziękuję ci, Ortiku, zaczynałam się już naprawdę źle czuć – powiedziała nieco zawstydzona Fluttershy.

– Nie dziękować, my być wciąż pod ziemią – przypomniał ogier. – Nasi kompani za grubą ścianą.

– Wszystko będzie dobrze – stwierdziła Pinkie. – Znajdziemy drogę na powierzchnię. A reszta też z pewnością świetnie sobie poradzi. Są z nimi Twilight i Guard, oboje mają wysoki level... znaczy się, spore umiejętności – poprawiła się natychmiast.

– Och, co się właściwie stało? – zapytała zagubiona Fluttershy. – Dlaczego skała nagle zmieniła pozycję i odgrodziła nas od pozostałych?

– To być dziwna sprawa, jakby... – Ortik przez chwilę szukał właściwego słowa. – Anormalia.

– Chodzi ci o anomalie? – poprawiła go delikatnie Fluttershy.

– Ortik właśnie to powiedział – odparł ogier, po czym zwiesił głowę ze smutkiem. – Wielka Szaman być z dala. Magia przodków nas nie chronić, musimy szybko znaleźć Twajlajt! – zawołał, po czym ruszył niezablokowaną stroną tunelu, pozostawiając z tyłu obie klacze, które bez słowa sprzeciwu ruszyły za nim.

– Czy... on sądzi, że Twilight ma jakąś moc chroniącą nas przed niebezpieczeństwami? – zapytała cichutko Fluttershy. Na szczęście Ortik wysunął się daleko na prowadzenie, i nawet jego wyczulony słuch nie pozwolił mu podsłuchać rozmowy zawiązującej się między klaczami.

– Dla niego magia jest chyba czymś niezwykłym – odparła Pinkie konspiracyjnym szeptem. – W jego wiosce tylko ten stary szaman był jednorożcem. Swoją drogą, powiedział wtedy, że zna się na sztuczkach, dlaczego więc żadnej nam nie pokazał? No wiesz, króliki wyciągane z kapeluszy, piłowanie kucyków na pół, wypełnianie PIT-ów w kilka sekund... Swoją drogą, przypominałam sobie o takim jednym zabawnym...

Pinkie rozgadała się na dobre, zaczynając opowieść o tym, jak jej babcia dołączyła kiedyś do cyrkowej trupy, gdzie nauczyła się wielu różnych trików i gotowania przepysznej zupy z kamienia. W pewnej chwili jednak przerwała monolog i spojrzała na pegaza z zakłopotaniem.

– To moja wina, że spadłaś do tej jaskini. Byłam wielkim głuptasem i przeze mnie musimy teraz wędrować w ciemnościach, a nasi przyjaciele zostali od nas oddzieleni. Wybaczysz mi kiedyś?

Fluttershy spojrzała z konsternacją na Pinkie. Różowa klacz wydawała rzeczywiście obarczać się ostatnimi wydarzeniami. Pod maską wesołości skrywała jakieś tłumione emocje.

– Nie jesteś wcale bardziej winna ode mnie – powiedziała smutno Fluttershy.

– Ale...

– Gdybym tylko uważała jak stawiam kopytka, to bylibyśmy teraz wszyscy na powierzchni – rzuciła, ukrywając twarz przed Pinkie. – Wszystko przez to, że jestem taką niezdara. Tylko wam przeszkadzam w tej podróży.

– To nieprawda – stwierdziła różowa klacz z mocą. – Wiele razy pomagałaś przyjaciółkom w potrzebie. Byłaś przy nas gdy cię potrzebowałyśmy, zawsze udzielałaś wsparcia na miarę swoich możliwości.

– Nie potrafię niczego przydatnego – zdołała wyszeptać Fluttershy.

– Tak? A kto przegonił mantikorę? Kto zmusił smoka do opuszczenia groty? Kto uratował Apple Bloom, Sweetie Belle i Scootaloo przed bazyliszkiem? Kto kilkakrotnie był w straszliwym lesie Everfree? Kto poskromił olbrzymie węże? No i kto pierwszy wziął się za opatrywanie rannych i wpadł na pomysł zrobienia noszy? – z każdym pytaniem Pinkie, Fluttershy coraz bardziej czuła wypełniającą ją siłę. Może rzeczywiście coś w tym jest?

– Ja... dziękuję ci, nie patrzyłam na to w ten sposób – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Nawet nie wiesz ile dla mnie znaczą twoje słowa.

– To wszystko prawda – odparła Pinkie. – Jesteś wspaiałą przyjaciółką.

– Ty także – powiedział pegaz, opanowując wzruszenie. – Jestem dumna mogąc się z tobą przyjaźnić.

Po tych słowach opadły wszelkie bariery, obie natychmiast złapały się w pełen wdzięczności uścisk. Nawet Ortik zatrzymał się na chwilę, słysząc płacz szczęścia, którym wybuchnęły jego towarzyszki.

Wędrówka mrocznymi korytarzami stała się znacznie przyjemniejsza. Fluttershy jeszcze nigdy nie rozmawiała z Pinkie w tak swobodny sposób. Gawędziły w najlepsze, w wyjątkowo dobrych nastrojach, zważywszy na okoliczności. Tylko mały ogier stawał się coraz bardziej niespokojny. Zazwyczaj kipiał optymizmem, teraz jednak powłóczył ponuro nogami, maszerując przed siebie z uporem w oczach.

Pinkie opowiadała właśnie o hucznym przyjęciu, które planuje wystawić gdy wrócą do Ponyville, gdy Ortik nagle się ożywił i wskazał z entuzjazmem na tunel przed nimi. Coś zdawało się lekko rozpraszać mrok w dalszej części korytarza.

– Światło! Tam być wyjście! – zawołał szczęśliwy ogier. Puścił się galopem w tamtą stronę, nie przejmując się możliwością potknięcia o nierówne podłoże. Klacze podążyły za nim nieco ostrożniej, choć i je uszczęśliwiła możliwość opuszczenia wreszcie tych okropnych podziemi. Towarzysze pokonali zakręt, mrużąc oczy przed coraz mocniejszym blaskiem. Jaskinia powiększała się w tym miejscu, a strop ulokowany był wyjątkowo wysoko. Cudowne światło słoneczne wpadało przez szeroką szczelinę, ogrzewając twarze zauroczonych kucyków. Jedynym problemem były śmierzące siarką wyziewy, ułatwiające się z dziwnej kolistej wypustki wyrastającej na środku korytarza.

– Co byśmy teraz zrobili bez pegaza? – zapytała radośnie Pinkie. – A ty narzekałaś, że jesteś nieprzydatna.

Fluttershy tylko uśmiechnęła się lekko. Spojrzała na Ortika, a potem na Pinkie.

– Powinam dać radę wziąć was obu na raz – powiedziała dość pewnie.

– Po co? Ortik może czekać – rzekł ogier, choć widać było po nim zniecierpliwienie.

– Wolałabym się już więcej nie rozdzielać – wytłumaczyła Fluttershy, co zostało skwitowane zgodnymi potaknięciami przez jej towarzyszy.

Żółta klacz złapała w pasie Pinkie, która z kolei chwyciła Ortika. Lot ku powierzchni poszedł znacznie łatwiej niż się tego spodziewała Fluttershy. Ortik był leciutki jak żreback, a Pinkie też okazała się zaskakująco mało ważyć, jak na kucyka ziemnego, który na dodatek miał skłonności do pożerania wszelkich słodczych w zasięgu wzroku.

Trójka wędrówców wynurzyła się z szczeliny, trafiając na smaganą promieniami słońca powierzchnię. Fluttershy wylądowała zaraz obok dziury, wypuszczając swoich pasażerów. Ich zadowolenie z opuszczenia mrocznych jaskiń szybko się jednak ulotniło, gdy tylko rozejrzeli się wokół siebie.

Tarland się zmienił. Wbrew pozorom, okazało się, że może być jeszcze bardziej nieprzyjazny, niż wtedy, gdy postawili tu po kopytku raz pierwszy.

Jeziorka zdawały się wrzeć, wywołując ohydne bulgotanie. Substancja, którą były wypełnione nie pływała już leniwie w ich obrębie. Wielkie, ohydne macki wiły się na wszystkie strony, bijąc podłoże w ślepej furii. Podłoże, tak jak skała w jaskini, rozjarzyło się dziwnym blaskiem i zaczęło delikatnie falować. Widząc, że gaz ulatniający się ze szczelin podpałił się w jakiś sposób w niektórych miejscach, towarzysze bez słowa oddalili się na bezpieczną odległość od tej, z której udało im się przed chwilą wydostać.

Jedyną dobrą stroną obecnej sytuacji było, że podróżując tunelami najwyraźniej przybliżyli się znacząco do północnej granicy Tarlandu. Wcale nieduża połać terenu dzieliła ich od zbawiennych gór.

– Co robimy? – zapytała Fluttershy.

– Musiec zaczekać na reszta – odpowiedział Ortik niepewnie.

– Zgadzam się, ale czy nie lepiej byłoby najpierw dojść do skraju Crystal Mountains? – zastanawiała się Pinkie. – Tu zaczyna się robić trooszkę gorąco.

Rzeczywiście, kolejne słupy gazu stawały w płomieniach, a atmosfera wyraźnie się ociepliła.

– Mieć racja, lepiej będzie opuścić te miejsce szybko. Tylko zatrzymać się na najbliższy stok, żeby widzieć dobrze Tarland – stwierdził ogier.

– Okie-dokie! Chodźmy już! – Pinkie ruszyła przodem w podskokach. Wybrała trasę stosunkowo wolną od ognia i czarnej brei.

Fluttershy poszła w ślad za przyjaciółką, ale wyraźnie było po niej widać, że intensywnie nad czymś myśli. Zauważył to Ortik, po czym spojrzał na nią pytająco. Żółta klacz wskazała w odpowiedzi na niebo.

– Czegoś nie rozumiem... – zaczęła nieśmiało Fluttershy. – Słońce jest teraz wysoko na niebie, podobnie jak wtedy, gdy zaatakował nas ten p-potwór – na samo wspomnienie zaczęła lekko dygotać. – Z pewnością dość długo błądziłam tymi strasznymi tunelami, ale ono niemal się nie poruszyło! Czy czas mija tutaj w innym tempie? – zapytała z zaniepokojeniem.

– Prawda być prostsza, my być w jaskinia całą noc i część następnego dzień – rzekł z prostotą mały ogier.

Cała doba! Fluttershy pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie spodziewała się, że była tam przez tak długi czas. Nogi się pod nią lekko ugięły, gdy przypomniała sobie przebytą trasę. Od czasu wyruszenia z wioski zrobiła tylko jedną, króciutką przerwę na sen. Zjadła też co nieco z zapasów, ale głód znów zaczął szarpać jej żołądek. Postanowiła jednak dzielnie znieść wszelkie niedogodności, aż dotrą do miejsca odpowiedniego do zarządzania postoju.

Pinkie także usłyszała Ortika. Ona za to zdziwiła się, że minął tak krótki okres, od kiedy Twilight wraz z gwardzistami pokonała smolistą bestię. Pamiętała jak obwiniała się o te wszystkie wydarzenia. Nawet teraz czuła niemiłe ucisk w brzuchu na myśl o tym. Z drugiej strony, wszyscy przyjaciele wybaczyli jej niemiłe zajście. Miała nadzieję, że kiedyś i ona sobie wybaczy.

Trójka towarzyszy zbliżyła się już znacząco do skraju Tarlandu, kiedy ziemia zadrżała kolejny raz. Wędrowcy poczuli jak skała pod ich kopytkami wibruje. Zjawisko nie skończyło się jednak po kilku sekundach, jak w przypadku poprzednich trzęsień. Wstrząsy bujały nimi na boki, a huk im towarzyszący drażnił uszy klaczy i ogiera.

Gdyby kucyki kiedykolwiek słyszały o apokalipsie, to byłyby zdumione podobieństwem tej wizji do tego, co się teraz działo dookoła nich.

Czarna substancja opuściła zagłębienia, przelewając się po terenie, jakby obdarzona własną wolą. Podłoże zaczęło pękać w wielu miejscach, ujawniając kolejne szczeliny. Z każdej dziury buchały olbrzymie płomienie. Szara chmura pyłów przysłoniła słońce, pogrążając krainę w cieniu.

– Szybko, biec ku góróm! – zawył z całych sił Ortik, przekrzykując hałas. – Ratować życie!

Wszyscy puścili się galopem w stronę zbawiennych wzgórz, ale szalejące inferno już deptało im po kopytach.

Spadali w nieprzeniknionej ciemności. Pustka wokół tylko wzmacniała ich przerażenie. Potem jednak coś się zmieniło, jakiś ledwo wyczuwalny opór, jakby przelatywali przez chmurę.

Applejack otworzyła oczy, które do tej pory miała zamknięte ze strachu przed roztrzaskaniem się o podłoże. Dalej spadała, tak jak wszyscy towarzysze jakich widziała, ale prędkość opadania malała zamiast rosła. Zanim klacz zdążyła się należycie zdziwić, zauważyła otaczającą ich fioletową aurę. No tak, Twilight znowu ich uratowała. Applejack odetchnęła z ulgą.

Teraz kompani sunęli leniwie, coraz bardziej zagłębiając się w trzewia ziemi. A może i nie? Przez tą ciemność trudno było stwierdzić gdzie jest góra, a gdzie dół. Applejack zaczęła już podejrzewać, że przepaść pod nimi nie ma końca, kiedy jej kopytka delikatnie zagłębiły się w czymś chrzęszczącym. Pozostali wylądowali bok niej, starając się dostrzec cokolwiek w mroku. Pomarańczowa klacz bardziej wyczuwała ich, niż widziała.

Nikły promyk oświetlił nieco okolicę. Twilight podtrzymywała zakłęcie, choć wyglądała na wykończoną. Czar pozwalający jej bezpiecznie opuścić drużynę na dno przepaści najwyraźniej sporo ją kosztował. Rarity także zapaliła swój róg, wkładając w to dodatkową moc, by jak najbardziej wyręczyć przyjaciółkę. Gdy dookoła nich zrobiło się jaśniej, towarzysze ze zgrozą zdali sobie sprawę, że stoją na wielkim stosie kości różnych kształtów i rozmiarów.

– Fe, fe, fe! – krzyczała Rarity, zbiegając w rekordowo krótkim czasie z lśniącego białą wzgórza. Reszta kompanii udała się w jej ślady, tylko nie czyniąc aż tyle hałasu.

– Coś mi tu nie gra... – mruknął Guard, podnosząc jedną z czaszek.

– No właśnie! – wtrąciła się wściekła z jakiegoś powodu Rainbow. – Czemu nie mogę latać?

– Jak to, nie możesz latać? – zdumiała się Applejack. Niebieska klacz w odpowiedzi zamachała z całych sił skrzydłami, ale wciąż stała twardo na podłożu.

– To ciekawe – mruknęła Twilight, która zdążyła już zregenerować nieco siły. – Najwyraźniej grawitacja działa tutaj w nieco inny sposób. Zastanawiam się, czy to przez głębokość na jakiej się znaleźliśmy, czy specyfika tego miejsca?

Applejack podskoczyła na próbę w miejscu. Może to był tylko wpływ sugestii, ale czuła jakby przyszło jej to z pewnym trudem. Więc to dlatego pegazy nie uratowały ich podczas spadania...

– Tak, to trochę upierdliwe i takie tam – odezwał się znowu Guard. – Ale ja mówiłem o czymś innym. Te kości są wyczyszczone na połysk.

– Tamte na górze też były, co w tym takiego niezwykłego? – burknęła Rainbow, łypiąc na gwardzistę.

– To że tutaj jest ciepło i sucho? – odparł gwardzista, ignorując niezrozumienie, wciąż malujące się na obliczu tęczowowłosej klaczy.

– W takich warunkach zwłoki powinny ulec mumifikacji – wyjaśniła cierpliwie Twilight. – Nie mogły się po prostu rozłożyć. Jediną możliwością jest, że coś dokładnie oczyściło je z tkanki mięśniowej.

– To okropne, aż dostaję mdłości! – skrzywiła się Rarity. – Proszę, czy moglibyśmy porozmawiać na jakiś mniej obrzydliwy temat?

– Na przykład, jak się stąd wydostaniemy bez użycia skrzydeł? – zapytał Guard z nutką szyderstwa. Wyjątkowo szybko przystosował się do nowej sytuacji, w przeciwieństwie do Rainbow, która stała się strasznie przewrażliwiona i co chwila rzucała niespokojne spojrzenia na swoje bezużyteczne skrzydła.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć strażnikowi, komnata pogrążyła się w jasnym blasku, niemalże oślepiając towarzyszy. Dopiero po dłuższej chwili, ich oczy dostosowały się do światła.

Okazało się, że jaskrawą lunę rzucają skały, z których zbudowane były ściany i podłóże. Przypominały nieco te powyżej, tylko były jeszcze szkaradniejsze. Składały się z niekształtnych, ciemnych brył, które były przecinane na całej szerokości przez dziwne, czerwone żyłki. Coś zdawało się przez nie przepływać, wywołując nieміłe skojarzenie z krwią. Strop był zbyt wysoko, by dało się go zidentyfikować.

Ze środka pomieszczenia wyrastała jakaś dziwna formacja, zbudowana z tego samego materiału co ściany. Oprócz tego na podłożu było kilka wyrostków, kształtem przypominających zamknięty kielich kwiatu.

– Och, cóż za niegustowne miejsce! – oburzyła się Rarity. – Któż mógłby mieć aż tak słabe wycucie stylu, by zaprojektować równie prymitywną lokację?

– No i cały nastrój szlag trafił – mruknął niezadowolony Guard.

– Czy wy też to czujecie? – zapytała Applejack. Wszyscy od razu wiedzieli co miała na myśli. Atmosfera wokół uległa zmianie, poczuł coś jakby leciuteńkie drganie...

Wtem wielki wstrząs targnął komnatą. Kucyki znowu wylądowały na podłożu. Ohydne żyłki pokrywające skałę zrobiły się nieco cieplejsze w dotyku, a substancja w nich krążąca zaczęła szybciej płynąć. Trzęsienie trwało jeszcze dłuższą chwilę, po czym ustało. Z góry dobiegło ich jakieś przytłumione echo, tak jakby cały świat na powierzchni zaczął się walić.

Formacja skalna poruszyła się gwałtownie. Zaskoczeni wędrowcy zobaczyli jak pojawia się w niej rząd dziurek różnej wielkości.

Wyrostki otworzyły się, ukazując małe otwory.

– Coraz mniej mi się to podoba – powiedziała niepewnie Twilight. – To wszystko wokół wydaje się być takie... żywe.

– *Bo takie jest* – podróżnicy usłyszeli przeraźliwą karykaturę głosu, jakby ktoś uderzał kamieniem o kamień. Dobiegał z dziwnego kawałka skały, ulokowanego na środku pomieszczenia.

– Ktoś ty? – warknął Guard. – Pokaż się, nie mam ochoty na zabawę w podchody.

– *Ależ widzisz mnie przez cały czas* – zaśmiał się obcy, choć bardziej przypominało to dźwięk osuwającej się lawiny. – *Mianowicie, od kiedy dotarłeś na skraj moich terenów.*

– Czy ty próbujesz nam powiedzieć, że jesteś... – straszliwe przeczucie tknęło Twilight.

– *Dokładnie tak, mój mały kucyku. Jam jest Tarland!*

Pinkie zgrabnie uniknęła wybuchającego obok niej płomienia, nie przerywając jednocześnie biegu. Zerknęła do tyłu. Jeden ze smolistych potworów wciąż za nią podążał. Tamten, z którym walczyli gwardziści był powolny i bezmyślny, ten jednak zdawał się posiadać jakąś przebiegłą inteligencję. Przybrał kształt podobny do węża, sunąc z determinacją w ślad za różową klaczą. Zdołał też uniknąć wszelkich dziur i płomieni, do których usiłowała zwabić go Pinkie.

Co chwila pod kopytkami uciekającego kucyka pojawiały się szerokie pęknięcia. Pinkie udawało się pokonywać je susami, ale stawiała się też coraz bardziej zmęczona. Gdyby tylko była w pełni sił, uciekłaby stworowi bez najmniejszego problemu.

Teren przed klaczą nagle zaczął się wyrzuszać. Rozpaczliwie przyspieszyła bieg, i w ostatniej chwili wskoczyła na szczyt formującego się wzgórza, o stromych, niemal pionowych stokach. Ścigająca ją bestia nie zdążyła się zatrzymać, i z rozpędem uderzyła w nowopowstałą przeszkodę. Imprezowiczka użyła przylepionego teraz do urwiska stwora jako zjeżdżalni, by zejść z powrotem do poziomu gruntowego, po czym kontynuowała ucieczkę.

Zdążyła przebiec spory kawałek, zanim teren przed nią się zapadł, buchając wysokim ogniem z otworu. Pinkie zatrzymała się z poślizgiem na krawędzi dziury. Odwróciła się, by znaleźć inną drogę ucieczki, ale kolejny z potworów zasłonił jej przejście. Znalazła się w pułapce. Rozejrzała się jeszcze wokół, szukając jakiegokolwiek możliwości ratunku, zanim czarna breja przypuściła atak.

Fluttershy przeleciała z wielką prędkością, ratując przyjaciółkę sprzed nosa (o ile jakkolwiek miał) przeciwnika. Trzymając wdzięczną Pinkie, zdołała jeszcze podlecieć do granicy gór, zanim jej skrzydła odmówiły posłuszeństwa. Krańcowo wykończona klacz upuściła różowego kucyka kilka metrów nad ziemią, po czym sama po prostu uderzyła o glebę. Świat zawirował jej przed oczami, a oczy zaszyły mgłą. Zanim straciła przytomność zdołała jeszcze zobaczyć jak Pinkie gramoli się na równe kopytka.

Ortik w tym czasie pokonywał kolejne przeszkody ze zręcznością, której mógłby mu pozazdrościć niejeden cyrkowiec. Zdołał przeskoczyć nad małą przepaścią, zrobić unik przed atakującą go macką natychmiast po wylądowaniu, by ostatecznie wykonać ślizg pod osuwającym się kawałkiem skały. Ogier może i był mały, ale braki we wzroście nadrabiał zwinnością i wytrzymałością.

Zbawienny skraj gór znajdował się już naprawdę blisko. Teraz wystarczyło już tylko wspiąć się na pierwsze wzgórze...

Potężna eksplozja wyrwała grunt spod kopyt Ortika. Poczul jak zostaje wyrzucony w powietrze jak szmaciana lalka, po czym wylądował z odgłosem głuchego uderzenia na twardej ziemi.

Wybuch odrzucił go aż do podnóża Crystal Mountains. Przed oczami latały mu czerwone plamy, a ciało odmawiało posłuszeństwa, dziwnie zdętwiało. Wszystko wokół zdawało się być pograżone w doskonałej ciszy. Ortik zdołał na tyle skupić myśli, by zrozumieć, że najwyraźniej ogłuchł. Szaleńcze barwy zaczęły coraz szybciej migać na granicy jego wzroku.

Co on robił? Wylegiwał się, kiedy wciąż zagrażało mu śmiertelne niebezpieczeństwo? Tytanicznym wysiłkiem woli zdołał oderwać kończyny od ziemi. Wciąż były bardzo słabe, ale dało się na nich kuśtykać. Starając się powstrzymać zawroty głowy, ogier zaczął się powolutku wspinać. Na szczęście stok był znacznie łagodniejszy, niż ten przy południowej granicy.

Krok po kroku, zaciskając zęby, Ortik z trudem dostawał się coraz wyżej. Pot gęsto zrosił mu czoło, a w kącikach pyszczka pojawiła się piana. Czuł, że już dłużej nie da rady, że musi natychmiast przestać, bo obolałe mięśnie już dłużej nie wytrzymają, ale mimo to, wciąż posuwał się ku górze.

Znajdował się już bardzo blisko szczytu wzgórza, wyciągnął kończynę, by złapać się krawędzi, lecz coś złapało za jego kopytko, i bez większego wysiłku wciągnęło go na skarpę. Do czarnych i czerwonych plam dołączyły jeszcze różowe, zanim pozwolił sobie wreszcie osunąć się w objęcia nieświadomości.

Po kilkunastu próbach, Pinkie udało się w końcu rozpaść skromne ognisko. Nie mogła sobie pozwolić na większe, bo w okolicy znajdowało się tylko kilka małych krzaczków. W normalnych warunkach mogłaby obawiać się ataków dzikich zwierząt, ale była pewna, że plujący ogniem i huczący Tarland skutecznie odstraszał wszelkie, choć odrobinę inteligentne, organizmy z całej okolicy.

Klacz wyjęła z juków ciepłe koce, po czym przykryła nimi dwójkę towarzyszy. Próbowала opatrzyć poparzenia jakim uległ Ortik. Na szczęście ucierpiała głównie sierść, pozostawiając skórę nienaruszoną. Bardziej martwiły ją liczne siniaki na jego ciele. Być może ogier doznał jakichś wewnętrznych obrażeń, lecz Pinkie nie miała pojęcia jak to sprawdzić. Poza tym, wyglądał na całkowicie wyczerpanego, będzie musiał długo spać, by zregenerować siły.

Podobnie zmęczona była Fluttershy. Widać marsz do Tarlandu, długa wędrówka korytarzem, a następnie szaleńcza ucieczka dały jej się porządnie we znaki. Zwinęła się w kłębek, drżąc lekko mimo koca. Oczy miała podkrążone, grzywę w nieładzie. Na szczęście uniknęła ran i poparzeń.

Pinkie także poczuła chłodny dreszcz. Tam na dole, w towarzystwie piekielnych płomieni, łatwo było zapomnieć, że znajdują się w pokrytych śniegiem górach. Trzeba będzie znaleźć jakieś lepsze miejsce na obóz. Przydało by się też więcej ciepłych koców. Klacz wypatrzyła juki Ortika, wciąż leżące u podnóża stoku, gdzie wyrzuciła je eksplozja. Biedny ogier nawet nie zauważył ich braku. Po krótkim namyśle, Pinkie ostrożnie zsunęła się na dół, szybko porwała bagaże i wspięła się z powrotem na szczyt. Zadanie powiodło się bez żadnych przykrych przygód. Źle się czuła, grzebiąc w rzeczach Ortika, ale musiała znaleźć dodatkowe okrycia dla przyjaciół.

Na ziemi wylądowało sporo różnej maści amuletów i symboli wykonanych z drewna. Oprócz tego znalazła kilka farbek, najwyraźniej maskujących, kamienny naszyjnik, zapasy żywności, śpiwór uszyty ze skóry, dwadzieścia drobnych kulek, kawałki metalu do odstraszenia wilków, a także wiele innych przedmiotów, których przeznaczenia nie знаła. Ostatecznie udało jej się wygrzebać spory, wełniany koc (trochę ją dziwił jego widok, ponieważ nie zauważyła w wiosce Ortika ani jednej owcy).

Okryła kompanów dodatkowym znaleziskiem, po czym usiadła na skraju ogniska, próbując się ogrzać. Oddała wszystkie ciepłe nakrycia towarzyszom, sama musiała więc dzielnie znosić mróz. Oddała nawet uszyty przez Rarity strój zimowy, bo grube łachy, które Ortik wdział na siebie podczas

podróży były teraz całe w strzępach. Ubranie okazało się ciut przyduże na ogiera, niemniej i tak spełniało swoje zadanie.

Różowa klacz zaczęła krążyć wokół ogniska, by aktywność fizyczna przywróciła jej nieco ciepła.

Trzeba pamiętać, że są dopiero na skraju gór, gdzie docierało nieco gorąca z Tarlandu. Co będzie, gdy zagłębią się bardziej między górskie stoki? Na samą myśl poczuła lodowaty dreszcz. Po chwili jednak pokręciła głową. Co będzie, to będzie. Teraz należało poczekać na resztę towarzyszy...

Pinkie poczuła się okropnie samotna. Z nikim nie mogła pogadać, nikomu się zwierzyć. Na dodatek ciążyła na niej odpowiedzialność za Fluttershy i Ortika. Miała nadzieję, że ich stan się poprawi.

Usiadła z głębokim westchnieniem na krawędzi rozpadliny, wpatrując się w jasne płomienie, buchające z licznych szczelin poniżej. Na powierzchni wygląda to potwornie, co więc musi się dziać pod ziemią? Czy jej przyjaciółki dadzą sobie radę?

Ogień doskonale komponował się na tle krwistoczerwonej barwy zapadającego zmierzchu.

– Oczywiście, że tak, już z niejednej opresji wychodziły cało, na pewno i teraz sobie poradzą – mruknęła pod nosem, usiłując się pocieszyć. Jakby na przekór jej słowom, kolejna eksplozja targnęła kraterem, jednak tym razem była bardziej przytłumiona, jakby miała swój początek głęboko pod ziemią.

– Myślałam, że Tarland to nazwa tego wielkiego krateru, co to rozciąga się wysoko nad nami – Applejack dziwnie się czuła, rozmawiając z kawałkiem skały. Z drugiej strony, ta substancja płynąca w żyłkach mogłaby być krwią. Farmerka skrzywiła się ze wstrętem, gdy uzmysłowiła sobie wysokie prawdopodobieństwo tej możliwości.

– *Bo i tak jest. Jestem nim, jestem gwiazdą, która spadła tu przed wiekami, jestem Pożeraczem* – odezwała się istota. Skały wokół towarzyszy zaczęły się energicznie ruszać. Dopiero teraz zauważyli, że ich drgania są nieprzypadkowe. Najwyraźniej były czymś w rodzaju narządów wewnętrznych. Rarity wyglądała, jakby miała za chwilę zwymiotować.

– Pożeraczem? – zdumiała się Twilight. – Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– *Jestem jedynym przedstawicielem swojego gatunku na tej planecie. Wszyscy, którzy dowiedzieli się o moim istnieniu, są teraz martwi* – dodał stwór, sprawiając, że drużyna nerwowo przełknęła ślinę.

– Nie sądzę, aby była taka potrzeba, drogi... panie? – próbowała ratować sytuację Rarity.

– *Teraz zabawiacie mnie rozmową, na jedzenie przyjdzie czas później.*

– Ach tak? Jeszcze zobaczymy – burknęła cicho Rainbow.

– W jaki sposób możesz z nami rozmawiać, skoro jesteś istotą ze skały i skąd znasz nasz język? – zapytał Guard. Najwyraźniej próbował przeciągnąć rozmowę, by mieć nieco więcej czasu na opracowanie planu ucieczki.

– *Moja rasa nie potrzebuje mowy do komunikacji* – rzekł stwór. – *Jednak po kolizji z tą planetą szybko zaczęło mi się nudzić. Zabijanie i zjadanie kolejnych zwierząt było satysfakcjonujące, ale szybko zaczęto unikać tej okolicy. Pewnego razu udało mi się schwytać przedstawiciela tutejszych*

istot rozumnych. Przeanalizowałem jego anatomię, odkrywając, że porozumiewa się ze współplemieńcami za pomocą strun głosowych, emitujących dźwięki o różnym natężeniu. Wykształciłem więc u siebie podobny twór, pozwalający mi porozmawiać z ofiarami przed ich śmiercią. Zrozumienie waszego języka było już dziecinnie proste. Kolejny z jeńców bardzo szybko wszystkiego mnie nauczył. Moja zdolność przyswajania faktów i pamięć, są znacznie lepsze od tych, które reprezentują tutejsze gatunki. Choć zdobywanie wiedzy jest dla mnie istotne, to największą przyjemność sprawia mi suta wieczerza.

– Nie ma co się śpieszyć, jest jeszcze wiele tematów do obgadania – wtrąciła szybko Applejack.

– *Mogę opowiedzieć wam swoją historię* – odezwał się ponownie Tarland – *abyście wiedzieli, kto zakończy wasz żywot.*

– Dobrze – zgodziła się Twilight. Nie przyznałaby się przed resztą, ale ta dziwna istota strasznie ją zaintrygowała. Informacje od niej zdobyte mogą być bardzo przydatne, by lepiej zrozumieć otaczający ich wszechświat.

– *Zatem słuchajcie, tycie kucyki...*

Pierwszy Pożeracz narodził się w czasach tak dawnych, że nie jesteście nawet w stanie tego pojąć. Niestety, nie wiem jak do tego dokładnie doszło, bo nasza rasa przekazuje przyszłym pokoleniom jedynie szczątkową wiedzę.

Tak w zasadzie, to trudno nas w ogóle nazwać “rasą”, bo zaprzeczamy poniekąd definicji tego słowa. Nie rodzimy się w taki sposób jak wy, przebieg naszego rozmnażania przypomina nieco ten, jaki reprezentują tutejsze bakterie i wirusy. Pożeracz dzieli się na kilka części, które zostają obdarzone własną świadomością. Jak można się domyślić, każde pokolenie staje się coraz mniejsze. Istnieje na szczęście dość prosta metoda, by zwiększyć swoją masę – konsumpcja. Właśnie dlatego nazywam nas Pożeraczami w waszym języku. Możemy zjeść niemalże wszystko, choć musiałbym być naprawdę zdesperowany, by posilić się na przykład kośćmi. Z jakiegoś powodu nie przepadam za dużym stężeniem wapnia.

Wracając jednak to sedna... każdy Pożeracz wyrusza na poszukiwania planety, która stanie się jego żywicielem. Rozbija się na jej powierzchni, wrastając w ziemię. Potem przez długie lata karmi się dostępnymi surowcami, coraz bardziej pęczniejąc, aż w końcu udaje mu się rozerwać ciało niebieskie na strzępy. Wtedy wyrusza na poszukiwanie kolejnego, większego globu.

Przyleciałem tutaj przed wiekami, szybko się aklimatyzując. Miałem niezwykle szczęście, trafiłem na planetę, na której istniały formy życia, na dodatek inteligentne! Nic nie smakuje tak dobrze, jak tkanka organiczna, poza tym, mogłem nauczyć się waszej mowy, by porozmawiać sobie z tubylcami, tak jak właśnie teraz z wami. Nauczyłem się zaskakująco wielu rzeczy od przedstawicieli różnych ras, którzy wpadli do mnie na obiad. Dobrze pamiętam ten okres, gdy pewna sekta ogłosiła mnie swoim bogiem, składając krwawe ofiary. Cóż to były za czasy! Poniewczasie zorientowałem się, że pożarcie wszystkich wyznawców nie było zbyt mądrym posunięciem, ale każdy ma prawo do błędów, nawet ktoś tak doskonały jak ja.

Przez wiele lat zamieszkiwałem tę okolicę. Stopniowo stawała się coraz bardziej jałowa, a wszelkie organizmy żywe starały się jej unikać. Jedynymi ofiarami stawały się kucyki mające nadzieję skrócić sobie drogę wędrówką przez te tereny, a i to zdarzało się coraz rzadziej. Czasem przelatywały nade mną gryfy. Niestety nie byłem w stanie osiągnąć tych pierzastych pokrak.

Głównym składnikiem mojej diety są skały, niezbyt apetyczne, ale łatwo dostępne i zawsze stanowią jakiś posiłek. Od paru lat nie miałem tutaj ani jednego kucyka, gdy nagle pojawiliście się wy. Cała gromada nieparzystokopytnych. Dziękuję wam, to całkiem miłe z waszej strony.

– Myślisz, że poddamy się bez walki, co? – fuknęła Rainbow, dając wreszcie upust wściekłości – Gdybym tylko znów potrafiła latać, to z twojego obiadku byłyby nici.

– *Denerwowały mnie żalosne próby ucieczki posiadaczy skrzydeł, dlatego zaburzyłem pole grawitacyjne wewnątrz siebie* – powiedział Tarland takim tonem, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

– W jaki sposób to zrobiłeś? Za pomocą magii? – zaintrygowała się Twilight.

– *Magia to dziwny wymysł tutejszej planety* – stwierdziła istota, jakby ze zgorzeleniem. – *Pożeracz po prostu potrafi w mistrzowski sposób panować nad swoim ciałem, zmieniając jego kształt, czy właściwości wedle woli.*

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju – odezwała się Applejack. – Co zrobiłeś z naszymi towarzyszkami, po tym jak one... – klacz natychmiast urwała w pół zdania, widząc mordercze spojrzenie Guarda.

– *Towarzyszkami?* – w głosie istoty po raz pierwszy można było dosłyszeć zaskoczenie. – *Więc jest was więcej... Taak, wyczuwam trójkę kucyków na powierzchni. Zaraz ich tu ściągniemy... przynajmniej mam taką nadzieję.*

– Jak to? – zapytała znów Applejack, klnąc w duchu własną głupotę.

– *Ach, jeśli będą stawiali opór, to mogą przedwcześnie zginąć* – odparł Tarland z żalem. – *Nigdy nie przepadałem za przypieczonymi potrawami.*

Pomarańczowa klacz poczuła jak coś ciężkiego opada jej w żołądku, gdy gdzieś wysoko nad nimi rozległ się potężny rumor. Teraz jej przyjaciele są w niebezpieczeństwie tylko dlatego, że nie potrafiła pomyśleć zanim otworzyła paszczę. Jakby nie mogła po prostu siedzieć cicho!

– Ha, myślisz, że się ciebie boję? – ponownie odezwała się Rainbow. – Wciąż się tylko chwalisz, a co takiego nam niby możesz zrobić?

Twilight spojrzała z niedowierzaniem na pegaza, kiedy nagle ją oświeciło. Rainbow chciała w ten sposób poznać możliwości wroga, co mogło okazać się pomocne przy próbie ucieczki. Nagle kucyki poczuły, jak coś dziwnego przebiega przez ich ciała, nasilając zmęczenie i głód.

– *Potrafię zaburzyć lekko upływ czasu w swoim organizmie. Choć dla was to była tylko chwilka, na zewnątrz minęło kilka godzin.*

Kompani rozejrzeli się po sobie niepewnie. Trudno było stwierdzić, czy stwór ich okłamuje.

– *Mam jednak lepszy sposób na szybką dekapitację. Widzicie te otwory, którymi upstrzone jest wasze podłoże?* – zapytał spokojnie. – *Wewnątrz nich trzymam gaz, który zabije was w kilka sekund. Wolałbym jednak tego uniknąć.*

– Hmm, a jak duże ma stężenie? – zapytała w zadumie Twilight. Reszta spojrzała na nią ze zdziwieniem. To chyba nie był odpowiedni moment na podobne pytania.

– *Sprężony strumień, który wylatuje z dziury jest w stanie przeciąć stal. To miejsce wypełni się nim niemal natychmiast* – odrzekł stwór.

W głowie Twilight zaświtała desperacka myśl. Czy to może się udać? Dała znak reszcie, wykorzystując fakt, że Tarland był najwyraźniej ślepy. Spojrzeli na nią wyczekująco. Na migi nakazała im zebrać się nad jednym z otworów, o których mówi Pożeracz. Następnie Twilight odezwała się pewnym, choć nieco drżącym głosem.

– Nie damy zrobić z siebie potrawki, jeśli chcesz nas zjeść, to najpierw zabij! Będziemy walczyć do końca! – towarzysze spojrzeli na lawendową klacz z konsternacją. Mieli nadzieję, że jej plan nie ogranicza się do chwalebnej śmierci.

– *Trudno, choć robicie mi wielką przykrość* – Tarland wydał coś na kształt westchnięcia.

Twilight spięła się w sobie. Gdy tylko usłyszała syk dochodzący z dziury, jej róg zabłysnął jasnym światłem. Drużynę otoczyła fioletowa bańka magii.

Sekundę później potężny strumień gazu uderzył w stworzoną przez nią barierę, wyrzucając ją wysoko w powietrze, wraz z pasażerami. Twilight skupiła się z całych sił, próbując utrzymać powłokę w całości.

Rozwinęli oszałamiającą prędkość, i już po chwili kucki mogły dostrzec zatrważająco szybko zbliżający się strop. Była w nim spora szczelina, z której wlewały się do środka czerwone promienie zachodzącego słońca. Jednorożcowi udało się zmienić nieco trajektorię lotu, by zdołali przecisnąć się przez otwór, który nagle zaczął się zamykać. Udało im się wylecieć w ostatnim momencie, niczym w amarekańskich komiksach akcji. Towarzyszył temu obowiązkowy ryk wściekłości, dobiegający gdzieś z podziemi.

Zamyślona Pinkie zauważyła, jak cały Tarland zaczyna drgać, wypływając z swoich trzewi coraz więcej ognia. Do jej uszu dotarło echo dziwnego odgłosu, przypominającego nieco walący się blok skalny. Gdyby kamienie potrafiły dawać upust furii, to właśnie tak by to brzmiało.

Coś wyskoczyło z jednej ze szczelin niczym korek z butelki. Na początku Pinkie wydawało się, że to po prostu kawałek skały. Później jednak zdołała dostrzec nikłą, fioletową aurę, choć szczegóły umykały jej z powodu zapadającego zmroku. Mimo to, serce klaczy zaczęło szybciej bić. Czy to możliwe...?

Przypomniała sobie o swoim spręcie szpiegowskim, który miała gdzieś w torbie. Po krótkich poszukiwaniach odnalazła wreszcie noktowizor, i natychmiast założyła go na oczy. Pokręciła chwilę przy ustawieniach, po czym wreszcie gotowa, spojrzała na interesujące ją zjawisko.

Miała rację! Zobaczyła swoich towarzyszy, unoszących się coraz wyżej w magicznej bańce. Po chwili osiągnęli szczytowy punkt, po czym osłona zamigotała i zniknęła. Pegazy natychmiast interweniowały, łapiąc nieposiadające skrzydeł klacze. Tylko jeden ze strażników pozostał z pustymi kopytkami. Zamknął więc tyły formacji, która zaczęła zmierzać w stronę północnego skraju, gdzie czekała na nich Pinkie.

Różowa klacz zaczęła podskakiwać w miejscu, wywijając wszystkimi kończynami, dla zwrócenia na siebie uwagi.

– Heeej! Jesteśmy tutaj! – wrzeszczała z całych sił.

Kompani zauważyli ją, gdy przebyli już większość drogi. Teren pod nimi skwierczał i syczał, ale oni to ignorowali. Na tej wysokości byli bezpieczni.

Towarzysze znizyli lot, przygotowując się do lądowania na skarpie, gdzie czekała na nich Pinkie. Wszyscy poczuli dojmującą ulgę, że wreszcie udało im się opuścić to miejsce. Rainbow nie potrafiła poskromić entuzjazmu, więc gdy tylko wylądowała jako pierwsza z Rarity w kopytkach, krzyknęła wyzywająco w stronę krateru.

– Ha, no i kto tu jest górą, co?

Zanim bohater opowiadania wyruszy w Epicką Podróż na Ratunek Świata, powinien wykuć na pamięć Księgę Rzeczy, Których Nie Powinien Mówić, Bądź Robić. Jest niezwykle obszerna i wciąż uzupełniana. Gdy otworzy się ją na pierwszej stronie, prawdopodobnie rzuci się w oczy jeden z czołowych punktów, brzmiący: *nigdy nie kpij z pozornie pokonanego wroga*.

Podczas gdy kompani odbywali lot ku górą, smolista substancja z całej okolicy zaczęła zbierać się w jednym miejscu. Breja uformowała się w jedną, niezwykle długą mackę, po czym spięła się w sobie jak wąż, i wystrzeliła w stronę kucyków. Zanim zdążyli zauważyć niebezpieczeństwo, złapała za nogę ostatniego ze strażników, po czym zaczęła go przyciągać z olbrzymią siłą. Gwardziści natychmiast polecili na pomoc koledze. Energicznie dźgali przeciwnika włóczniami, usiłując zmusić go do wypuszczenia pegaza. Bezskutecznie.

Gdy rozpaczliwie szamotający się żołnierz był już blisko podłoża, substancja znów zmieniła kształt, tym razem w kilkanaście macek, usiłujących pochwycić resztę ochroniarzy. Musieli wykonać szereg uników, by nie dać się złapać, a w tym czasie ofiara została spokojnie wciągnięta do szczeliny, która z łoskotem się za nią zamknęła. Oszołomieni strażnicy zobaczyli jak wszystko wokół się uspokaja, powracając do podobnego stanu, jak wtedy, gdy przybyli tu po raz pierwszy. Powrócili do klaczy, z wyrazami porażki, malującymi się na pyszczkach.

– Musimy go ratować! – wykrzyknęła Pinkie. – Nie możemy go przecież tak zostawić.

– Pinkie... – zaczęła Twilight delikatnym tonem. – Jeśli wrócimy, prawdopodobnie zginiemy wszyscy. Gdy byliśmy tam na dole, dowiedzieliśmy się wielu strasznych rzeczy i tak naprawdę tylko cudem udało nam się uciec.

– Ale... zostawimy towarzysza w potrzebie? – zapytała różowa klacz z niedowierzaniem.

Twilight tylko spojrzała na nią z rezygnacją. Applejack unikała jej wzroku. Rarity oddaliła się nieco, pod wymówką przebadania stanu Fluttershy i Ortika. Nawet Rainbow Dash wyglądała na zgaszoną.

– Słuchaj młoda, nie było cię tam razem z nami – odezwał się Guard. – To jest ponad nasze siły. Czasem trzeba poświęcić jednostkę dla bezpieczeństwa ogółu. Zapamiętaj sobie, bo to może nie być ostatni raz...

– Przestań ją straszyć! – wybuchnęła Twilight. – To był twój pomysł, żebyśmy skrócili sobie podróż tą drogą. No i co nam z tego przyszło? Prawie zginęliśmy, pożarci przez mutantą z kosmosu!

– Co takiego...?! – zdziwiła się Pinkie, lecz została całkowicie zignorowana przez klóćącą się dwójkę.

– To była trasa wyznaczona przez Księżniczkę Celestię, a ty powinnaś być całkowicie posłuszna jej rozkazom! – wykrzyknął ogier z wściekłością.

– Wcale nie! Zrobię, co będę uważała za słuszne, niezależnie od czyichkolwiek słów! – wrzasnęła lawendowa klacz.

Nagle zrobiło całkiem cicho. Guard wyglądał, jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Nawet przyjaciółki zdawały się być zdumione. Do Twilight powoli zaczynało docierać co właśnie powiedziała. Łzy zalśniły jej w oczach, gdy uciekła z dala od obozu, a następnie, wciąż płacząc, przysiadła samotnie gdzieś pod sporym głazem.

Applejack obserwowała odbiegającą przyjaciółkę. Chciała iść za nią i ją pocieszyć, ale zdołała dostrzec ostrzegawcze spojrzenie, którym obdarzyła ich jeszcze Twilight, zanim zniknęła w mroku. Najwyraźniej wolała zostać sama. Farmerka westchnęła ciężko. Też zaczynała mieć tego wszystkiego dość, a zachowanie Guarda tylko pogarszało sprawę. Powinien wiedzieć, że Twilight czuje się odpowiedzialna za tą wyprawę, więc po co gada takie rzeczy? Wzrok Applejack napotkał na juki, które przed chwilą zrzuciła. Poczula okropne ssanie w brzuchu. Do siana, może z pełnym żołądkiem będzie to wyglądało choć trochę lepiej?

Rarity przyłożyła kopytko do czoła Fluttershy. Na szczęście nie wyczuła gorączki. Gorzej wyglądała sprawa z Ortikiem. Był rozpalony i jednocześnie drżał z zimna. Biała klacz nakryła go dodatkowym kocem, i zdołała podać wywar przeciwbólowy, który zidentyfikowała wśród leków Fluttershy. Niestety, nie była w stanie zrobić nic więcej.

Rainbow wraz z jednym ze strażników poleciała włąb gór na poszukiwanie drewna. Wciąż jednak miała w pamięci świeżą kłótnię. Zgadzała się poniekąd z Twilight, droga wybrana przez księżniczkę okazała się niezwykle niebezpieczna, więc któraś z jej przyjaciółek mogła ucierpieć. Z drugiej strony... Celestia przecież chciała dla nich jak najlepiej. Jeśli kazała im wtedy podróżować, to albo miała solidne powody, albo to rzeczywiście była najlepsza trasa. Kto wie, jak wyglądałaby przeprawa przez góry na całej ich długości? Tęczowowłosa klacz jeszcze długo zastanawiała się nad tą sprawą, podczas zbierania opału. Jednak wciąż nie potrafiła z całą pewnością odpowiedzieć na pytanie: *wobec kogo powinna być lojalna?*

Nad obozem wstał nowy dzień. Strażnicy pobudzili klacze, po czym zebrali się przy Guardzie, prawdopodobnie w celu odebrania dalszych rozkazów. Na niebie było niewiele chmur, słońce jasno świeciło, była to wprost wymarzona pogoda do długiego marszu.

Applejack parsknęła na samą myśl o tym. Co z tego, że warunki były idealne, skoro ona sama czuła się jakby dźwigała na plecach sporą jabłonkę? A niektórzy zdawali się jeszcze gorzej znosić skutki długotrwałego marszu, wielokrotnych upadków na ziemię, czy wstrząsu jakiego doznały pędząc z olbrzymią prędkością w magicznej bańce. Obok pomarańczowej klaczy przeszła właśnie Rarity. Ku zaskoczeniu farmerki, biały jednorożec trzymał się naprawdę nieźle, i prawie się nie zataczał.

Dużo gorzej wyglądała sprawa z Twilight, która przespalała noc z dala od wszystkich. Już przed kłótnią wyglądała na wykończoną. Nic dziwnego, przecież przeszła tyle samo co wszyscy, a ponadto dwukrotnie uratowała ich za pomocą czarów. Na dokładkę dostała jeszcze potężną dawkę stresu i zwątpienia...

Applejack pokiwała głową, a na jej pyszczku pojawił się wyraz uporu. Cóż, czas najwyższy pogadać sobie z Twilight, i udzielić jej wsparcia, czy tego chce, czy nie!

– Hej, dziewczyny! – zaczęła po drodze pozostałe przyjaciółki, siedzące trochę bez sensu przy dawno wypalonym ognisku. – Pomyślałam, że wypadłoby żdziebko pomęczyć naszą liderkę swoją obecnością. Kto idzie ze mną?

Pinkie wstała bez wahania, po czym jednym susem znalazła się u boku pomarańczowej klaczy. Rarity i Rainbow zajęło to troszkę dłużej, obie wydawały się mieć jakieś wątpliwości. Niemniej, bez słowa podążyły za dwójką ziemnych kucyków.

W pewnym oddaleniu od obozu znajdowała się spora skalna wnęka, uformowana przez spływający z góry strumień. Powstał w ten sposób mały wodospad, którego wody z wdziękiem opadały do niedużego jeziora. Na jego brzegu siedziała Twilight, próbująca nieco się zrelaksować. Zdołała już troszeczkę ochłonąć po ostatnich wydarzeniach, i teraz czuła już tylko palące uczucie wstydu. Nakrzyczała na Guarda, choć to wszystko nie było przecież jego winą, ośmieliła się także krytykować rozkazy księżniczki Celestii, tak jakby ona sama była w stanie lepiej zorganizować wyprawę. A jednak... cichy głosik w głowie lawendowej klaczy mówił, że miała w pewnym sensie rację. Jeden z gwardzistów został najprawdopodobniej pożarty przez jakąś ohydłą kreaturę z kosmosu. Cała ta podróż to jedno wielkie nieporozumienie. Powinny powrócić do Ponyville i...

Nie! Musiała wypełnić misję, mieszkańcy Equestrii na nią liczyli! Jak już z tym skończy, to poważnie porozmawia sobie z księżniczką. Bardzo poważnie.

Martwiła się tylko o swoje przyjaciółki. Najlepszym pomysłem byłoby kontynuowanie podróży na własne kopytko, tyle że jeśli teraz ucieknie, to one z pewnością podążą za nią. Może uda im się to jakoś wyperswadować? Jeśli uda jej się...

Rozmyślenia przerwało jej pojawienie się czterech klaczy. Twilight poczuła jak się mimowolnie czerwieni. Chciała je przeprosić, usprawiedliwić wczorajszy wybuch, ale Applejack ją ubiegła.

– Czółko Twi! Cemu siedzisz tutaj sama, zamiast przyjść do swoich przyjaciółek? Przecież nie mamy ci za złe tego co powiedziałaś, prawda dziewczyny? – wszystkie pokręciły zgodnie głowami.

– Wiemy, że ci ciężko. Nadzorujesz przebieg wyprawy, starasz się by wszystko poszło jak trzeba – dodała Rarity. – Rozdrażnienie jest w tym przypadku czymś normalnym.

– Taa, Guard też mocno przegiął – rzuciła Rainbow.

– Zawsze będziemy cię wspierać Twilight, przecież jesteś naszą przyjaciółką! – zawołała Pinkie, miażdżąc jednorożca w uścisku.

Twilight znowu poczuła się wzruszona słowami klaczy. Cały jej plan poszedł w rozsypkę. No bo jak im teraz powiedzieć, że powinna je opuścić? Trudno, jakoś przez to przebrnąć. Nieraz już przecież udowodniły jak wielką siłą dysponują, gdy są razem.

Przyjaciółki wróciły do obozu, gawędząc po drodze. Atmosfera uległa wyraźnej poprawie, klacze rozmawiały znów swobodnie, rzucając niekiedy dowcipem. Guard najwyraźniej postanowił zachowywać się, jakby nic się nie stało, był tak samo grubiański jak zawsze. Propozycja zmarnowania

kolejnego dnia na regenerację sił niezbyt przypadła mu do gustu, ale nawet on musiał przyznać, że drużyna zupełnie nie nadaje się do jakiegokolwiek wędrowni.

Po południu, ku uciesze kłaczy, obudziła się wreszcie Fluttershy. Biedaczka patrzyła na nich z całkowitym niezrozumieniem, a ich gorączkowe relacje przeżytych przygód (postanowiły przemilczeć najbrutalniejsze momenty, by uniknąć stresowania żółtego pegaza) tylko powiększyły mętlik w jej głowie. W końcu doszła do siebie na tyle, by stanąć na równe, choć mocno drżące kopytka. Trochę zajęło jej uporządkowanie wszystkich informacji, trochę wstrząsnęła nią informacja o prawdziwym obliczu Tarlandu.

Gdy tylko odzyskała jako taką sprawność manualną, Fluttershy bez dalszej zwłoki postanowiła przebadać Ortika. Okazało się, że gorączka nieco mu spadła, choć całkowicie nie minęła. Poparzenia też okazały się niegroźne. Następnie zajęła się siniakami, delikatnie uciskając różne miejsca, sprawdzając czy zrobił się obrzęk. W kilku przypadkach zlokalizowała opuchliznę, na szczęście niegroźną. Wszystkie kości zdawały się być całe. Mimo to, ogier był na tyle poobijany, że po dojściu do siebie, prawdopodobnie będzie miał problemy z szybkim marszem, o biegu nawet nie wspominając.

Przez pozostałą część dnia, kłaczę przygotowywały się do dalszej drogi, sprawdzając czy mają wszystkie potrzebne rzeczy i w miarę możliwości uzupełniając braki. Zapasy suchego prowiantu wciąż były spore, ale woda była już na wyczerpaniu. Rainbow wraz z Applejack udały się więc na uzupełnienie manierek w jezioru, przy którym znalazły uprzednio Twilight.

Jedyny kłopot stanowił Ortik. Długo dyskutowali nad tym, czy powinni go brać w dalszą podróż, a jeśli tak, to w jaki sposób mają go nieść. Problem rozwiązał się sam, gdy mały ogier ocknął się przed zapadnięciem zmroku. Po łapczywym spożyciu posiłku, zaklinał się, że jutro będzie znów w pełni sił i wyruszy wraz z nimi bez żadnych taryf ulgowych. Fluttershy szczerze w to wątpiła, ale nie można mu było tego zabronić, tym bardziej zważywszy na to, jak mocno uparł się przy swojej decyzji.

Kolejny dzień zapowiadał się gorzej niż poprzedni, gęste chmury zbierały się na wschodzie, osłabiając docierające do nich promienie słoneczne. Niemniej, towarzysze byli już gotowi do dalszej drogi. Sprawnie zwinęli obóz, a Guard tak dokładnie zatarł wszelkie ślady ich obecności, że nawet same kłaczę nie mogłyby stwierdzić z całą pewnością, gdzie nocowały.

Wyruszyli naturalną przełęczą pomiędzy dwoma stokami górskimi. Ortik spokojnie nadążał za ich tempem, nie pokazując po sobie nawet śladu bólu. Albo mówił prawdę o swoich możliwościach regeneracji, albo skutecznie się maskował.

Gdy podróżnicy wspięli się na niewysokie wzgórze stojące im na drodze, ujrzeni spore pasmo, rozciągające się przed nimi. Miny im zrzedły, gdy zdali sobie sprawę, że będą musieli wspiąć się na samą górę.

Grupka kucyków postawiła pierwsze kroki na ponownie pokrytej śniegiem ziemi. Wkroczyli do królestwa wiecznego chłodu.